

M. J. MIGOWA.

# „Wojenne“ kłopoty literata.

Humoreska aktualna.

— Tak, kochany panie Andrzeju, nie możemy nie-  
stety z tej noweli skorzystać...

— Ależ dlaczego, panie redaktorze?! Przecież  
śmiało powiedzieć mogę, że moje utwory podobały  
się zawsze publiczności!

— Nie przeczę, że się podobały, ale przed wojną!  
Teraz, kochany panie, tylko aktualność popłaca!  
Takie „cywilne“ miłosne historie nikogo dzisiaj nie  
obchodzą. Popatrz pan, otrzymujemy stopy listów  
z wymówkami, a nawet z ostreymi wymysłami za  
to, że w obecnych czasach zamieszczamy utwory,  
nie mające nic wspólnego z wojną! Grożą nam, że  
zaprzestaną czytać pismo, jeżeli nie pójdziemy za  
prądem czasu! Tak! tak! ludzie obecnie tylko o woj-  
nie mówią, o wojnie piszą i czytają, myślą o niej  
we dnie i śnią w nocy... o niczym innym słuchać  
nawet nie chcą!...

— Ależ to okropne, panie redaktorze, więc niema  
nadziei, aby moja nowela...

— Nie! nie drogi panie... Ta nowela nie pójdzie  
teraz absolutnie... Pisz pan co innego... Pisz pan  
„listy z rowów strzeleckich“, pieśni żołnierskie, na-  
stroje wojenne, obrazki z okopów, nowelle wojenne,  
historie o szpiegach!...

— Ależ jakże ja o tem wszystkiem pisać będę,  
kiedy ja na wojnie nigdy nie byłem, w wojsku nie  
służyłem i wogóle nie mam pojęcia, jak to na polu  
bitwy wygląda, jak ci ludzie tam się biją... Wiem  
tylko tyle, że nie na pieści i nie na kije, ale poza-  
tem niewiele więcej... A co do szpiegów, to przy-  
znam się redaktorowi, że mnie się nigdy w głowie  
pomieścić nie mogło, jak oni się do tego biorą...

— A pan myśli, że ci wszyscy panowie, którzy  
wypisują tomy rozmaitych szkiców, obrazków, na-  
strojów wojennych, to oni kiedykolwiek widzieli  
bitwę czy też wogóle wojnę zbliżoną? O ma pan  
tutaj feljeton, w którym autor zaczyna: „piszę na  
bombie rosyjskiego lotnika, która nie wybuchła“...  
To pan wierzy doprawdy, że ten pan widział inną  
bombę oprócz bomby piwa?!... Panie kochany, żoł-  
nierze na polu walki mają co do innego do roboty,  
jak „robienie“ literatury! Ale ktoś się o to troszczy,  
czy to naprawdę tak było, jak się opisuje... Od cze-  
goż wolna fantazja autorska?! Publiczność żąda od  
nas aktualnej sensacji i tę jej dać musimy! Rozu-  
mie pan to przecież... No, mam nadzieję, że wkrótce  
zjawi się pan u mnie z jakim manuskrytem, który  
będziemy mogli zużytkować! Wie pan co, możeby  
na początek jaki „list z rowów strzeleckich“?... To  
względnie najłatwiejsze, a podoba się ogromnie...  
Wychodzą zbiorowe wydania takich listów i publi-  
czność je rozchwytuje...

— Postaram się, panie redaktorze, chociaż  
wątpię...

Pan Andrzej Ciecioro wyszedł z bramy domu,  
w którym się mieściła redakcja „Wrzasku“ krokiem  
powolnym, melancholijnym... Machinalnie obracał  
trzymałą w ręku tekę i smutnie kiwał głową...

— Wojna! — szepnął sam do siebie — i po-  
cóż ta wojna... A tak było dobrze...

W istocie panu Andrzejowi było przed wojną  
wcale dobrze...

Chociaż bieda polskiego „chudego literata“ stała  
się przysłowiową, nie mógł jednak pan Ciecioro  
na dolę swoją zbyt się uskarżać... Krezusem  
wprawdzie nie był, ale taczkę życia codziennego  
pchał z niezgorzszym powodzeniem...

Pisywał tkiwe, wzruszające powieści i nowele,  
zawierające najczęściej historie miłości pięknych,  
bogatych paniczów ku równie pięknym, szlachetnym,  
lecz ubogim dziewczętom...

Czasem bohater przezwyciężał wszystkie prze-  
szkody, pokonywał opór rodziny, łamał przesady  
swego otoczenia i poślubił ukochaną...

Innym razem bogaty panicz ulegał złym wpły-  
wom i porzucał piękną ubogą bohaterkę... Ale  
wtedy zawsze przychodziła Nemezis i czytelnik koń-  
czył powieść czy nowelę z uczuciem pełnej moral-  
nej satysfakcji.

Niekiedy dla odmiany kazał pan Andrzej boga-  
tej, zawsze bardzo szlachetnej i nieco ekscentry-  
cznej pannie (ekscentryczność ta była trzymana  
w bardzo umiarkowanych granicach) pokochać ubo-  
giego a dumnego młodzieńca...

Jeżeli zdarzyło się czasem, że do powieści swo-  
jej wprowadził jakiś konflikt małżeński, to zawsze

po wielu zawikłanych perypetiach dopływał z nim  
do spokojnej przystani...

W ostatnim rozdziale poważnieni małżonkowie  
dochodzili do zupełnego porozumienia wzajemnego...  
No i wszystko było dobrze...

Publiczność była zadowolona, pan Andrzej rów-  
nież, a co najważniejsze elegancka pani Andrzejowa,  
która wydawała bardzo dużo pieniędzy na swoje  
tuary...

A dzisiaj poraz pierwszy zwrócono mu skrypt  
z oświadczeniem, że publiczność nie chce już czytać  
tych miłosnych historii...

— Teraz, panie, miłość nie ogrzana ogniem  
szrapneli i granatów, to żadna miłość! — rzekł mu  
na odchodnym redaktor. — To było dobre dawniej  
przed wojną! Wtedy wystarczały lilie, róże, słow-  
wki, teraz muszą być granaty, szrapnele, karabiny  
maszynowe... Bez tego ani rusz...

Więc żądają od niego, Andrzeja Ciecioro, aby  
się stał wieszczem wojennym!... Od niego, którym  
wzgardziły wszystkie komisje asenterunkowe, który  
nie czuł w sobie żadnych instynktów wojowniczych  
i w dzieciństwie nawet nie znajdował upodobania  
w zabawie blaszaną szabelką i żołnierzami z ołowiu...

Czytał wprawdzie opisy bitew w powieściach  
historycznych i niektóre współczesne obrazki wo-  
jenne, ale interesował się tem w stopniu bardzo  
umiarkowanym... Nigdy nie zaprzętał sobie nimi  
głowy na tyle, aby wytworzyć sobie jasny obraz  
wojny...

Wiedział, że wojna współczesna przedstawia się  
inaczej, aniżeli w powieściach z epok minionych, ale  
na czem polega ta różnica, z tego nie zdawał so-  
bie dokładnie sprawy...

Skłopotany, zafrasowany przyszedł pan Andrzej  
do domu i zwierzył się ze swych trosk żonie...

Pani Julia zmierzyla męża pogardliwym spojrze-  
niem...

— I taki człowiek chce być literatem, a nie  
umie napisać tego, co piszą dziesiątki innych ludzi,  
którzy także nosa poza miasto nie wytknęli... Masz  
takiego Łapczykiewicza!... Przed wojną chodził  
w butach nie do pary i nie miał korony w kieszeni,  
a teraz przejdź się po kawiarniach... Wszędzie go  
pełno, ubrany elegancko i wiecznie otoczony rojem  
wielbicieli... Zapytasz może, co się stało, skąd taka  
odmiana? No, napisał wiersz „Wśród ryku grana-  
tów, wśród świstu szrapneli“... i obwołali go wiesz-  
czem, geniuszem... Albo taki Fafara... kto o nim  
wiedział przed wojną? A teraz? Autor znany, czy-  
tany, wychwalany! Dzienniki nie piszą o nim ina-  
czej, jak „nasz wybitny“... „nasz utalentowany“...  
Zebys ty widział, jakie jego żona nowe okrycie  
pluszowe sobie sprawiła... Bo on pisze jeden obra-  
zek wojenny za drugim... A czy on kiedy widział  
wojnę? Chyba malowaną albo na fotografii... Ale  
to są ludzie z głową, a ty jesteś niedołęga, roz-  
miesz, niedołęga!...

Energiczna admonicja żony podziałała, podnie-  
ciła ambicję autorską pana Andrzeja.

— Piszą inni — rzekł — będę pisał i ja...

Zaraz po obiedzie zamknął się w swym pokoju,  
aby pracować...

Pamiętny wskazówek redaktora, zabrał się do pi-  
sania listu z rowu strzeleckiego...

Pisał więc:

„Najdroższa! Posyłam ku Tobie białego gołębia  
tęsknoty, niechaj na śnieżnych skrzydłach przynie-  
sie Ci pragnienia serca mojego i marzenia moje  
o Tobie... Żyję tutaj samotny, opuszczony... Dni  
moje jednostajne, jak tykotanie zegara, smutne, jak  
rozplakany dzień jesienny... Tęsknię, a myśl o To-  
bie dodaje mi sił do zniesienia trudu tego żywota“...

Zegar wydzwonił godzinę czwartą, przypomina-  
jąc panu Andrzejowi o umówionym spotkaniu z pe-  
wnym mecenasem literatury...

Literat przerwał więc swoją robotę i wyszedł  
z domu, zastawiając na biurku zaczęty „list“.

Kiedy wieczorem powrócił, drzwi otworzyła mu  
żona... Zaledwie rzucił na nią okiem, już wiedział,  
że zanoszą się na jakąś burzę... Czoło pani Julii prze-  
rzucała groźna zmarszczka, a oczy ciskały błyskawice...

Pan Andrzej zdziwiony czekał, skąd padnie  
grom... Nie czekał długo... Gwałtownym ruchem  
ręki wyjęła z za bluzki ową pozostawioną na biurku  
kartkę papieru i podsunęła ją pod sam nos mężowi.

— A to co, nędzniku?! — krzyknęła potrząsa-  
jąc papierem — Tegom się doczekała? Masz ko-  
chanke?! Zładzasz mnie, oszukujesz?! „Białego  
gołębia tęsknoty“ posyła do niej! Teraz rozumiem,  
dlaczego nie chciałeś mi kupić nowego kapelusza!  
Ale poczekaj! ja ci tego nie daruję! Zemszczę się!  
zobaczysz!...

— Ależ, Julciu! — zawołał pan Andrzej prze-

rywając potok słów rozgniewanej żony — ja nie-  
mam żadnej kochanki... Gdzie mnie w głowie ko-  
chanki... To jest poprostu „list z rowu strzeleckiego“,  
który zamówił u mnie redaktor „Wrzasku“.

Pani Julia spoglądała kolejno to na „list“, to  
na męża, jakby usiłując wybać, czy mówi prawdę.

Po chwili, przekonana widocznie o prawdzie słów  
mężowskich, wybuchnęła głośnym śmiechem...

— Ależ człowieku! — zawołała — na to nie da  
się przecież wziąć najnaiwniejszy nawet czytelnik...  
Tu przecież słowa niema o wojnie! Skądże się kto  
domyśli, że to ma być list z rowu strzeleckiego?

— No, toby się przecież podpisało... — odparł  
zakłopotany trafną uwagą żony literat.

— Sądze, że to chyba zamało...

— Pan Andrzej uznał w całej pełni słusność  
słów pani Julii i tak się tem zafrasował, że stracił  
zupełnie apetyt do kolacji.

Długo w nocy nie mógł zasnąć, rozmyślając,  
jakby tu wybrnąć z zadania, które mu postawił re-  
daktor.

— Trzeba się wprawdzie przygotować — zadecy-  
dował wkońcu — tyle się teraz pisze o wojsku  
i o wojnie... Muszę to wszystko przeczytać, prze-  
studyować, a może wówczas uda mi się myśłą prze-  
nieść w okopy strzeleckie, na pole walki...

Nazajutrz udał się pan Andrzej na wędrowkę  
po księgarniach... Przeszukiwał i zakupywał wszel-  
kie możliwe wydawnictwa, traktujące o wojskowo-  
ści i wojnie... zatem podręczniki terenoznawstwa,  
broszury o gatunkach i ilości wojsk, o lotnictwie,  
o łodziach podwodnych... zakupił mapy wszystkich  
terenów wojny, cały komplet tygodnika wojennego  
„Szrapnel“, cykl nowel wojennych „Przez gruzi,  
zgliszczą, popioły“, książkę o słynnych szpiegach  
wojennych wszystkich czasów...

Zatopiony w przeglądaniu i dobieraniu książek,  
nie zwrócił uwagi na podejrzliwe spojrzenia subiekta  
w księgarni, który jakoś dziwnie z pod oka przy-  
glądał się mizernemu, chuderławemu człowiekowi,  
objawiającemu tak wielkie zainteresowanie wojsko-  
wością...

Pan Andrzej powrócił do domu, obciążony  
książkami, jak dromedar i skwapliwie zabrał się od-  
razu do ich wertowania.

Czytał i czytał, ale im dłużej płał się we  
krwi, którą ociekały „aktualne“ utwory, im usilniej  
starał się wnikać w tajniki techniki wojskowej,  
tem mniej z tego wszystkiego rozumiał.

Przeciwie, z rozpaczą czuł, że w głowie jego  
powstaje jakiś opętany chaos.

Owidysz powiedział wprawdzie, że z chaosu  
wyłonił się świat, ale nieszcześnie literat poczynął  
powątpiewać, czy w jego mózgu wyłoni się temat  
do „wojnej“ noweli.

Nie ustępował jednak z placu boju i właśnie  
studyował urządzenia łodzi podwodnej, kiedy u drzwi  
wejściowych ktoś ostro zadzwonił.

Pan Andrzej zatopiony w czytaniu nie zwrócił  
na to żadnej uwagi, ale po chwili posłyszał zbliża-  
jące się ku drzwiom jego pokoju szybkie kroki.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pani  
Julia, blada i strwożona, a za nią jakiś nieznajomy  
pan z bardzo poważną miną.

— Przepraszam pana — zaczął nieznajomy, by-  
strem spojrzeniem obejmując biurko załóżone książ-  
kami i mapami. — Ale przychodzę w urzędowej  
sprawie... Jestem agentem policyi... Proszę iść ze  
mną...

— Dokąd? — wyjąkał pobladły pan Andrzej,  
trzęsąc się z przestachu.

— Do dyrekcyi policyi... — brzmiała odpo-  
wiedź.

— Ależ dlaczego?! poco?!

— Nie mogę panu udzielić żadnych wyjaśnień...  
Przykro mi bardzo, ale muszę spełnić mój obo-  
wiązek...

Proszę pana ze mną...

W domu państwa Cieciorów zapanował rwetes,  
lament, trudny do opisanego...

Pani Julia szlochała spazmatycznie, dzieci krzy-  
czały wniebogłosy, służąca przyłączyła się także do  
ogólnego lamentu...

Pan Andrzej drżącymi rękami włożył palto, ka-  
pelusz i ze spuszczoną, jak skazaniec, głową udał  
się za agentem policyjnym...

Z sercem bijącym trwogą, z głową pełną naj-  
czarniejszych a jak najmniej prawdopodobnych przy-  
puszczzeń wstępował na schody gmachu dyrekcyi  
policyi...

Wszedł za agentem na pierwsze piętro, potem  
na drugie — przeszli jeden korytarz, później drugi,  
trzeci...

Panu Andrzejowi zdawało się, że ta droga trwa  
bez końca... Nareszcie agent wprowadził go do obszernego